

Remigiusz Ryziński

***Fragmenty dyskursu miłosnego Rolanda Barthesa.
Fragment I. Interpretacja.***

I. Lecę w otchłań, upadam...

LECIEĆ W OTCHŁAŃ. Tchnienie unicestwienia, które w podmiocie miłosnym bierze się z rozpaczy bądź spełnienia.

Przede wszystkim, od razu, pojawia się tutaj główna osoba dramatu: podmiot miłosny. Przeczuję natychmiast, że nie jest to zwykły podmiot, nie jest to więc podmiot w ogóle, na pewno nie on. Wiem, że podmiot miłosny – podmiot zakochany – to ów szczególny rodzaj podmiotu, osoby, który wyróżnia się spośród innych tym, że kocha – jakiś inny podmiot. Z czasem, w trakcie lektury, będzie zapewne można wyróżnić inne cechy podmiotu, o którym mowa. Teraz wystarczy mi jedynie wiedza – świadomość – że podmiot miłosny to ten ktoś – taki ktoś, taki *ja* – kto istnieje jako zakochany.

Podmiot ten pragnienie przestać istnieć. Pojawia się w nim tchnienie unicestwienia. Zimny cień trwogi, stalowe kleszcze rozpaczy, grobowy oddech śmierci. Podmiot, który chce skoczyć w otchłań to podmiot na skraju, podmiot pozbawiony więzów z bytem, z tym, co jest jakie jest. Powodem takiego stanu rzeczy, mówi Barthes, jest zarówno rozpacz lub spełnienie.

Rozpacz i spełnienie są tym samym. Są jak grymas uniesienia, rozkoszy, skrajnej radości, szczęścia i bólu, cierpienia, łkanie i wycie. Rozkosz i rozpacz są tym samym. Powodowane innymi przeżyciami, doświadczeniami, można powiedzieć skrajnie różnymi źródłami, są w swoim zwieńczeniu, na końcu drogi, u szczytu, lub na dnie – tym samym dokładnie.

Barthes mówi: „w chwilach bólu lub szczęścia, bierze mnie niekiedy chęć, by *zlecieć w otchłań*”. Przede wszystkim – zlecieć w otchłań – sugeruje bez-dno. Zlecieć w otchłań to, oczywiście, przestać istnieć, przestać być, umrzeć. Ale akcent, wydaje mi się, kładzie tu Barthes na akt, na dzianie się, na samo spadanie w otchłań, nie na moment rozbicia, czy śmierci. Kiedy podmiot miłosny lecieć będzie w otchłań, będzie przecież miał jeszcze tych kilka sekund, by pamiętać, by przypominać sobie, by w ostatnim tchnieniu wypowiedzieć imię ukochanego, by ujrzeć jego obraz, przywołać go i zachować na zawsze, na nigdy.

Poza tym *upadać w otchłań* brzmi zupełnie jak *zapadać się w miłości do kogoś*, *falling in love to somebody*. Upadanie w otchłań jest upadaniem w miłość i odwrotnie – upadanie w miłość, zakochiwanie się, jest jak upadanie w otchłań.

Kiedy podmiot czuje się tak wspaniale, że następna chwila szczęścia wydaje się mu być nie tylko niemożliwa, ale przede wszystkim zbyt duża, czy nadmiarowa, a może nawet wulgarna w pewnym sensie, wtedy – przez pragnienie, by chwila ta trwała na wieki, by skończyła się wraz ze wszystkim innym, z nim samym, a więc właśnie by była ostatnia, pozaczasowa – wtedy podmiot chce skoczyć w otchłań, chce udusić się oszałamiającym pędem wiatru, udusić się zachwytem.

Cierpienie i rozkosz to jedno i to samo.

Barthes podaje na to dwa przykłady.

Zimny, szary, obcy, wilgotny poranek na wsi, poza wszystkim, co znajome być może, co miejskie, domowe, poza miastem, poza światem. Poranek ten jest szary – nie ma słońca, może pada, może to jesień. Podmiot cierpi z powodu jakiegoś mało znaczącego zdarzenia, rozsypanej kawy, wylanego mleka, zacięcia przy goleniu, cierpi bez powodu. Z nadmiaru wszystkiego

tego, co się wydarza, albo nie, z nadmiaru bytu dookoła, z jego gęstości, z jego niesamowitości i skrajnej niedostępności. Z pustki dookoła. Z Nic, które staje się wszystkim, które wszystko zagarnia, wszystkim włada, ma wszystko pod swoją kontrolą. „Pojawia się myśl o samobójstwie”. Myśl czysta, bez powodu, bez resentymentu, myśl, której podstawą, czy źródłem nie jest ani podmiot ukochany, ani tęsknota, ani jakaś wielka przewina. Nie jest to myśl – kara. Nikt prócz samego podmiotu miłosnego nie znajduje się w jej kręgu, w jej obszarze. Myśl samotna, ego-centryczna. Taka myśl – ta myśl – niczego nie przerywa, niczego nie kończy, niczego nie domyka, o niczym nie świadczy. Jest jedynie ostatnim elementem ogólnego nastroju, aury, „dopasowana do ciszy, do pustki” poranka na wsi, do chwili, w której Nic się nie wydarzyło.

Cicha rozpacz boli najbardziej.

„Innego dnia nad brzegiem jeziora czekamy w deszczu na statek”. I to jest szczęście. A przecież okoliczności są podobne do tych, które powodowały rozpacz. Pada, jest wilgotno i nieprzyjemnie. Czekanie oznacza tutaj niemiły stan rozdrażnienia, oznacza znudzenie, podenerwowanie, pragnienie by być już tam, gdzie miało się być. Ale podmiot czuje się szczęśliwy, i to do tego stopnia szczęśliwy, że „pragnie skoczyć w otchłań”! Dlaczego? Bo: „czekamy” ...

Ciche szczęście – we dwoje – zatyka usta z nadmiaru, z rozkoszy tej chwili, z tego, co jest, teraz-tu, jakie jest, między nami, dwoma/dwojgiem. Podmiot zakochany mówi tu w istocie: jesteś obok, więc wszystko to, co sprawiało, że cierpiełem staje się nagle cudowne! Ty jesteś cudowny, więc i wszystko jest cudowne! Niech trwa, niech się dzieje, niech gęstnieje w tym stanie, w chwili, kiedy ty i ja, razem...

Bycie razem zabija najrozkoszniej.

Bezgłośnie, niespodziewane i oszałamiające – prowadzące do szaleństwa? – szczęście i/lub rozpacz, pojawia się, zaskakują podmiot, splatają z nim, wikłają, podpierają i ściągają w dół, w otchłań. Ale nie ma w tym żadnego patosu, nie ma teatru, nikt nie musi patrzeć. W tej rzadkiej chwili, rzadkiej przez swą ego-centryczność, przez brak pragnienia dzielenia się,

pokazywania, dzieje się niewiele, Nic. Podmiot rozpływa się, a nie rozpada na kawałki. Rozpływa się w cieczy rozkoszy lub łez. Rozdzielone na kawałki ciało podmiotu – jak u świętych męczenników – wymagać będą publicznego szafotu. Ale rozplątanie się jego ciało-bytu zachodzi bezgłośnie, w ciemności lub we mgle, w Niczym i z Nikim.

Nie mniej jednak, topniejący podmiot, idzie na dno. Może nie jak kamień, ale jak ciecz – gęsta, lepka – która dryfując w innej – przejrzystej, chłonnej – w końcu miesza się z nią zupełnie, i w końcu też rzeczywiście upada, opada, na dno. Taka łagodna myśl o śmierci pojawia się *niezobowiazujaco*, mijają lecz może powrócić, może pojawić się w głowie podmiotu zakochanego – podmiotu, który w tym czy innym momencie czuć będzie rozpacz lub rozkosz – nie raz. Zupełnie za darmo, nieuroczyście. Niespodziewanie i jednak *słodko*.

Skoro, mówi dalej Barthes, zimne tchnienie pragnienia śmierci może pojawić się zarówno z rany jak i połączenia, to wkraczamy tu w strefę sacrum Bataillea. Cieleśność zastępuje nieobecna boskość. Cieleśność dotknięcia, połączenia, komunii dwóch ciał. Ciała połączone w jedno, jak u Platona, jedno-wszystko. Na ciele pojawiają się jednak niekiedy rany. Bataille mówi: „zaszyjcie mi usta, jak zaszywa się ranę” [Bataille, 1998: 137]. Nie pozwólcie mi mówić, niech nie cieknie ropa słów. Na moim ciele pojawiła się bolesna rana – to usta, które muszą mówić. Muszą opowiadać historię, muszą krzyczeć i szeptać. Czasem spierzchnięte, czasem wilgotne, usta otwierają mnie na nieznanne, na to, co na zewnątrz, groźne i bolesne, i na to, co w środku, co ciemne, nieznanne, niewidoczne, co jest jak larwa. Larwa, która pełza, przesuwa się posuwistym i rytmicznym ciągiem do góry, do wylotu, gdzie przybierze postać słów. Ta larwa to język, język matki, język, którym mówię z domu, z siebie, od zawsze.

I jeszcze oczy....

Otchłań omamia, jak hipnoza. Pragnę się w niej znaleźć, pragnę zapomnienia, jakie oferuje, zawieszenia, snu. Omdlenie, hipnoza przekazują – inaczej jak śmierć – ciało i to, co poza nim, wszystkim, jakby pod zbiorową odpowiedzialność. W ten sposób podmiot prosi: zaopiekujcie się mną na

chwilę, krótką chwilę, w której będę prawie umierał, w której odpocznę, w której moje ciało i to, co nim nie jest – odpocznę wraz ze mną, poza mną. Podmiot miłosny – w omdleniu, w hipnozie – oddaje się wszystkim, ale nie innemu. Dlaczego? Bo jego tu po prostu nie ma.

„Przycupnąłem ukradkiem w podrobionej myśli o śmierci (podrobionej jak podrobiony klucz): o śmierci myślę na boku” – jak i bako kładę się przy ciele ukochanego, którego nie jestem w stanie dotknąć, bo będąc zbyt blisko ustawia mnie w zbyt dużej wobec siebie perspektywie. Podmiot udaje myślenie o śmierci – bo śmierć zbliża go do ukochanego ciała, które – w śnie, na boku – przypomina ciało martwe, pasywne zupełnie, nieobecne. W takim wyobrażeniu – skrajnie perwersyjnym i skrajnie też rozkosznym – kiedy podmiot wyobraża sobie martwe ciało – swoje/jego – z którym można wszystko zrobić, w takim właśnie wyobrażeniu – o podrobionej śmierci – podmiot zakochany Barthesa żyje najpełniej. Ale życie to jest jednak zbyt przerażające, ta chwila zbyt odważna, by mogła trwać dłużej niż мгновение oka. „Logika nie do pomyślenia” rządzi tego typu marzeniem, logika, w której podmiot zakochany łączy w jedno życie i śmierć, jak i łączy siebie i obiekt swojej miłości.

W wyobrażeniu upadania w otchłań, w ocieraniu się o śmierć, podmiot zakochany „wymyka się tej masywności, temu wypełnieniu”, które mając moc unieruchomienia podmiotu w pozycji oczekiwania na odpowiedź, czynią zeń „podmiot *odpowiedzialny* [sujet *responsable*]”. Ociężałość żałoby (po obiekcie miłosnym) stawia podmiot zakochany w sytuacji, w której odpowiada on – i jest odpowiedzialny – na (za) ciszę, na (za) nieobecność. Nie mogąc wykonać żadnego ruchu, nie mogąc dobrać głosu z krtani – podmiot zakochany staje się – w swoim niezawinieniu – winny zbrodni milczenia. Ten, który mógłby być jedynie odpowiedzią, bez pytania ze strony obiektu – staje się ciszą samą, ciszą grobową.

Upadając w otchłań podmiot zakochany *wychodzi* z impasu. Dokonując zbrodni na swoim ciele – i na tym, co ciałem nie jest – podmiot zakochany doświadcza, jak mówi Barthes, *ekstazy*. Ek-statycznie zaczyna poruszać się

w perwersyjnym ruchu wokół swojego zwidzenia, wokół obiektu, którego nie ma, wokół samego Nic.

Taki taniec prowadzi do omdlenia. Pragnienie omdlenia – pragnienie małej śmierci, nie odczuwania niczego choćby przez chwilę, zawieszenia i zdania się na łaskę tych, którzy patrzą – przypomina zjawisko logerii. Mówiąc w nieopamiętaniu można – nierozsądnie, niebezpiecznie – powiedzieć wszystko, czego nie można byłoby powiedzieć, gdyby zachowane były władze rozsądku nad mową. Logoreja i milczenie, jednocząca bliskość i całkowite odsunięcie są więc tym samym.

Tak jak kochanie i pisanie, które będąc tym samym i – zupełnie jak tamte – czymś całkowicie się wykluczającym nie mogą pojawić się jednocześnie. Kochanie i pisanie są (razem) niemożliwe. A jednak, jednak się zdarzają...

[1] Barthes, R. 1999. *Fragmenty dyskursu miłosnego*, Warszawa.

[2] Bataille, G. 1998. *Doświadczenie wewnętrzne*, Warszawa.